№ 51. Warszawa, dnia 4 (16) Grudnia 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerowac można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDENTOM
Uniwersytetu Warszawskiego.

Naprzód! do światła! po światło! bez trwogi!
Gdy *„Alma Mater,“* przestąpiłeś progi,
Jesteś człowiekiem — żeby apostołem
Zostać—i świat ten przejść z gwiazdą nad czołem.

* * *

Tę gwiazdę *„wiedzą“* nazwali odwieczni,
Grecy, Rzymianie, Słowianie — słoneczni,
Swem złotem sercem — które dał im Bóg
Najpierw — a potem dał im łzy i pług.
Z sercem skrwawionem bólem, co z Golgoty
Echem uderza w ducha, niby gromem,
Wołam: o zorzo! lśnij im w barwie złotej,
Niech każdy widzi cię nad swoim domem,
Niech ze sztandarem serca i miłości,
Świat przejdą — i tak żeby ojców kości,
Zadrżały z wielkiej radości...

Miron.

Gawędy Naukowe.

CZŁOWIEK PRZEDHISTORYCZNY

przez H. K.

Szczątki kopalne ludzi i zwierząt. — Zdanie Cuviera o starożytności człowieka. — Jaskinie zawierające kości. — Prace geologów.

Ludy które żyły na ziemi przez cały przeciąg czasów historycznych, nie przebywały na niej bez zostawienia niezaprzeczalnych śladów swego istnienia, wypadki w których udział brały, walki przez nich staczane, budowle i pomniki które dźwignęły obyczaje i zwyczaje jakim były poddane, ukazują się przed oczami historyka w odkrywanych zwaliskach, medalach i rozmaitych dokumentach, które dozwalają mu odtworzyć obraz minionych cywilizacyi. Pierścienie rycerzy rzymskich odgrzebywane w piaskach na brzegu Trazymeńskiego jeziora, hieroglify starożytnego Egiptu, Świątynie Indyi i Meksyku, są przykładami owych szacownych szczątków, które badane zbierane i porównywane z innemi szczątkami, uobecniają niejako ubiegłe dramata historyi.

Czem dla historyka są medale, tem dla geologa są *skamieniałości*, czyli szczątki lub odciski roślin i zwierząt w skorupie ziemnej przechowane: kiedy tamten bada stopniowe zmiany przez jakie przechodziła ludzkość w ciągu licznych wieków, ten rozpoznaje przeobrażenia które zachodziły w królestwie organicznem i nieorganicznem, oraz przekonywa się jak niezmierna ilość istot żyjących następowała po sobie w wodach i na lądach, zanim człowiek ukazał się na ich powierzchni; i widzi iż owe formy zwierzęce różniły się bardzo od tych, jakie dziś na kuli ziemskiej istnieją. Nauka o szczątkach zwierzęcych kopalnych zowie się *Paleontologiją.*

Jakkolwiek jest ona bardzo niedawną od wczoraj, rzec można, zrodzoną, wszakże uczyniła już ogromne postępy, dzięki niestrudzonym pracom niezmordowanym poszukiwaniom we wszystkich krajach, których nabytki dostateczne są aby zapełnić całe muzea, dostarczyć materyałów do najwspanialszego rozdziału księgi Przyrody, i być niewyczerpanem źródłem badania najznakomitszych uczonych i najgłębszych filozofów.

Ilość gatunków zwierzęcych i roślinnych które obecnie na kuli ziemskiej istnieją, przechodzi jeden miljon, nie licząc w to wymoczków i żyjątek mikroskopowych, których szklanka wody, może zawierać więcej aniżeli jest ludzi na całej ziemi. Naturalista rozważający faunę i florę czasów teraźniejszych, dostaje zawrotu głowy na widok ogromu i różnorodności kształtów organicznych przedstawiających jakoby obraz nieskończoności. A cóżby rzekł paleontolog, gdyby mógł znać wszystkie gatunki, które żyły w ciągu czasów, i w różnych epokach świat nasz zaludniały? Musiałby chyba teraźniejszą ich ilość pomnożyć tyle razy, ilekroć przyroda zmieniała formy istot w przebiegu epok geologicznych! Nauka zatem paleontologji porusza się w przestrzeni niezmiernie rozległej. Jakkolwiek ogromną jest ilość znanych już gatunków kopalnych, bezustannie jednak wynajdują nowe, i zapewne z dniem każdym coraz nowsze jeszcze przybywać będą.

Wśród tego ogromu istot od wielu wieków w łonie ziemi przechowanych, a będących jakoby dokumentami z których historyą jej tworzenia z łatwością wyczytujemy, kopalne szczątki człowieka, świadczące o jego niezmiernie dawnem pochodzeniu, są bez wątpienia najciekawszym i najważniejszym przedmiotem badań uczonych. O nim więc, o człowieku przedhistorycznym, o człowieku kopalnym, jak go w nauce nazywają, cokolwiek pomówimy, oraz o rezultatach do jakich obecnie odkrycia i badania uczonych doprowadziły w tym względzie.

Nie więcej jak czterdzieści lat temu, jednoczesne prace w trzech naukach bardzo siebie blizkich: geologji, paleontologji i archeologji, wykryły wielkie mnóstwo szczątków, których badania cofnęły epokę pojawienia się człowieka na ziemi do czasów bardzo odległych, do epok geologicznych, i wykazały iż żył współcześnie ze zwierzętami kopalnemi nieistniejącemi obecnie, a cechującemi formacye czwartorzędne. Świeże zaś bardzo odkrycia poczynione we Francyi przez księży Bourgoing i Dulong, pierwsze jego pojawienie się aż do trzeciorzędnej epoki geologicznej zdają się odsuwać. Ale że to ważne odkrycie nie jest jeszcze dostatecznie zbadane, nic więc o niem na teraz mówić nie będziemy.

Wiadomość o człowieku kopalnym wywołała z razu liczne zaprzeczania. Kiedy naturaliści przedstawili pierwsze szczątki ludzkie z pokładów czwarto-

rzędnych wydobyte, zadziwienie nie mniejszem było, jak gdy w XVI wieku Bernard Palissy przedstawiał uczonym paryzkim skamieniałe muszle, dowodząc iż one do innego świata należą, różniącego się wielce od obecnego. Ale teraz prędzej niż wówczas należało się poddać oczywistości. Darmo zsyłano się na genijusz wielkiego Cuviera, któremu przypisywano niesłusznie iż zaprzeczał istnieniu człowieka kopalnego, gdy on naprawdę mówił tylko w roku 1825 *iż nie znaleziono dotąd ani człowieka ani małpy kopalnej.*

Dziś zaś, dzięki poszukiwaniom geologów, szczątki pierwotnego przemysłu człowieka kopalnego, czyli człowieka czwartorzędnej epoki, a nawet jego własne kości, w wielkiem znajdują się mnóstwie, tak, że tworzą muzea całe, i dzień każdy nowemi odkryciami stwierdza fakt jego istnienia. Źródła z których nauka czerpie te szacowne szczątki są rozmaite. Przejrzyjmy je w krótkości.

Jaskinie i pieczary w różnych wysokościach na stokach gór skalistych spotykane, tworzą częstokroć prawdziwe muzea naturalne, w których nagromadzone są zabytki światów dawno zaginionych.

Nic bardziej urozmaiconego jak widok tych podziemi, które dosięgają nieraz kilku tysięcy stóp rozciągłości. Większa ich część bywa wyżłobioną w skałach wapiennych, jak to daje się widzieć w Anglji, Irlandyi, Belgji, w Alpach, Pireneach, Apeninach i t. p., gdzie niektóre z pieczar takich rozgłos wielki zyskały. Krystaliczne osady wapienne tworzą w nich rozliczne nacieki, *stalagmity* i *stalaktyty*, których kształtami oko się zachwyca a które są dziełem kropel wody przesiąkających przez pokłady wapienne, rozpuszczających ich cząstki i skutkiem parowania osadzających je w ciągu wieków na tych niby soplach lodowych. Niektóre z jaskiń takich całe są najeżone owemi wapiennemi inkrustacyami, wycinanemi, rzeźbionemi w sposób najrozmaitszy, tworzącemi kolumnady, portyki, draperye alabastrowe, ukazujące się jako ozdoby jakiejś fantastycznej architektury; inne pieczary zawierają zaledwie ślady tych krystalicznych osadów, gdy inne zaś zupełnie są ich pozbawione, i takie poszukiwaniom paleontologicznym zwykle bardziej sprzyjają.

Pod tym pierwszym pokładem ze stalagmitów złożonym a stanowiącym grunt jaskini, znajduje się zwykle pokład gliny, zwanej gliną kościonośną. Często bywa ona czerwonawą, czasem miękką i kruchą, czasem zaś tak przejętą wapnem że się oskardom opiera; warstwy kościonośne rozmaitej bywają grubości i bardzo rozmaite cechy przedstawiają. W nich napotykają się szczątki prawie wszystkich zwierząt epoki czwartorzędnej zmieszane z resztkami kości ludzkich, z młotami i siekierami krzemiennemi, oraz innemi śladami pierwotnego przemysłu człowieka.

We wszystkich czasach pieczary i jaskinie służyły jako mieszkania, schronienia lub groby dla ludzi wówczas żyjących. Starożytni autorowie mówią o Troglodytach, czyli mieszkańcach jaskiń w Azyi Mniejszej, we Włoszech i w Grecyi; Julijusz Cezar wspomina o Gallach którzy przed jego legijonami kryli się w pieczarach lub w nich się bronili, w późniejszych czasach i w różnych miejscowościach nieraz się to zdarzało. Nie można się zatem dziwić nagromadzeniu w nich kości i rozmaitych szczątków. W taki sposób w jaskini Malet w górach Cewenskich, znaleziono cały jakoby zbiór najróżnorodniejszych przedmiotów: skorup z glinianych naczyń rzymskich, statuetkę jakiegoś senatora rzymskiego, topory z kamienia wygładzonego i inną broń kamienną należącą do owych epok dawniejszych, istną kostnicę ze szczątków ludzkich i niedźwiedzich, wyroby przemysłu późniejszego i czaszki niedźwiedzie w piramidę ułożone. Wszystko to znajdujące się w tej samej pieczarze i w różnych głębokościach, świadczy tylko jak różni i w różnych epokach ludzie w niej przebywali. Dla historyi wszakże człowieka kopalnego tego rodzaju odkrycia nie są żadną pomocą. Ale rzecz się ma wcale inaczej kiedy szczątki ludzkie znajdują się jak to często się zdarza, w tychże okolicznościach co i kości zwierząt zaginionych epoki czwartorzędnej. Jeśli znajdują się w tejże samej glinie, nie przedstawiającej żadnych śladów poruszenia, pod nietkniętą warstwą stalagmitów, lub też jednocześnie z kośćmi zwierząt wygasłych uwięzione w jednolitej bryle kamienia; jeśli nakoniec badania czynione były w wielu bardzo miejscowościach i przez badaczy na zupełną wiarę zasługujących, wtedy współczesność człowieka ze zwierzętami kopalnemi nie może ulegać wątpliwości.

I tak pierwszy doktór Schmerling wydał w roku 1833 ważne dzieło o pieczarach w okolicy Liége się znajdujących, z których każdą najdokładniej zbadał. W jaskini Engis odkrył w warstwie zupełnie nieruszonej jakoteż i ziemi która ją okrywała, czaszkę niedźwiedzia, lwa i hyeny jaskiniowej, gatunków już nieistniejących, w pokładzie stalagmitowym takiej twardości iż ledwo młotem rozbijać się dawał. Z tego krystalicznego pokładu wydobyto siedem czaszek niedźwiedzia jaskiniowego *Ursus spelaeus*, żyjącego tylko w epoce czwartorzędnej: trzysta zębów, mnóstwo kości rozłupanych, nóż krzemienny, kawałek kości obrobionej na ostre narzędzie, trzy szczęki niedźwiedzie z wywierconą dziurą, dwadzieścia szczęk dolnych tegoż zwierzęcia, wzdłuż przeciętych z pozostawionym kłem na przodzie, co im nadaje kształt potężnego haka, mogącego służyć jako broń zaczepną, albo jako narzędzie do poruszania ziemi, i na których znać nacięcia ostrem kamiennem narzędziem uczynione, a nadto róg jeleni u góry zaostrzony a ucięty od dołu.

W podobnych warunkach w grotach d'Arcy i Neanderthal znaleziono kości ludzkie i jeden szkielet wraz z kośćmi niedźwiedzia jaskiniowego, w bardzo twardym i bynajmniej nie naruszonym pokładzie gliny czerwonej.

Prace znakomitego geologa p. Lartet uważane są jako ostatecznie przekonywające o istnieniu człowieka w epoce czwartorzędnej. Pierwszą sposobność ku temu podała mu jaskinia w Aurignac, w departamencie wyższej Garony. W roku 1852 pewien wyrobnik napotkał wązki otwór w pagórku numulitycznym założony płytą kamienną; odwaliwszy ją, znalazł się w prawdziwej kostnicy ludzkiej. Odkrycie to wielkiego nabrało rozgłosu, mer tamtejszy udał się na miejsce, rozkazał powybierać kości i pogrzebać na cmentarzu, przez co wydarł badaczom nauki ten skarb bogaty. Tyle tylko o nim wiadomo, że kości owe należały do siedmnastu szkieletów rozmaitego wieku. W roku 1860 p. Lartet udał się do Aurignac, z zamiarem czynienia jeszcze poszukiwań w owej jaskini. Z pomocą kilku inteligentnych robotników odgrzebał u wnijścia do pieczary, pod powierzchniemi pokładami ziemi, grubą warstwę popiołów i węgli na przestrzeni kilku stóp kwadratowych, w około ogniska z kamienia numulitycznego przepalonego od ognia. W tych popiołach wynalazł przeszło sto sztuk rozmaitych przedmiotów, jako to: nożów i grotów do strzał z krzemienia wykutych, naczyń wyrobionych z reniferowych rogów, grotów do strzał z kości i t. p. pomieszanych z wielką ilością kawałków kości niedźwiedzia jaskiniowego, żbika jaskiniowego, mamuta, jelenia i innych roślinożernych, oraz nosorożca przedpotowego, zwierząt które tylko w epoce czwartorzędnej żyły. Kości te, wszystkie rozłupane dla wydobycia szpiku, nosiły wyraźne ślady pracy ludzkiej w licznych nacięciach ostrem kamiennem narzędziem.

Później pp. Tissandier i Garrigon zwiedzili tę jaskinię jakoteż i kilka innych w tej okolicy, robiąc w nich poszukiwania szczegółowe. Prawie wszędzie znaleźli tak liczne szczątki ludzi i zwierząt z tej odległej epoki z sobą pomieszane, iż w ciągu niewielu godzin zebrali kilka toporów kamiennych, skrobaczkę granitową, a z jednej tylko pieczary piętnaście głów niedźwiedzia jaskiniowego wybornie zachowanych. Zwierz ten który nie różnił się od teraźniejszych niedźwiedzi, tylko ogromem swego wzrostu i niezmierną twardością kości, jakby z żelaza wykutych, w owych czasach w całej Europie bardzo obficie się znajdował.

Wszystkie odkrycia tego rodzaju, o których tylko przywiedliśmy tu kilka przykładów, od tego czasu coraz bardziej się mnożąc we wszystkich cywilizowanych krajach, dzięki gorliwości uczonych, dozwoliły nauce niezliczone zebrać dokumenta w tej ważnej kwestyi i otworzyć uzasadnione pojęcie o tem czem był człowiek przedhistoryczny, człowiek kopalny.

Nie tylko w pieczarach i jaskiniach wyżej opisanych znajdują szczątki człowieka kopalnego, same pokłady czwartorzędne w znacznych głębokościach ukazują mnóstwo jego resztek i śladów. Od roku 1847 znakomity Boucher de Perthes, „człowiek jedynej nauce poświęcony“ jak o nim Elie de Beaumont się wyraża, skłonił uczonych do głębszych badań nad *kamiennemi toporami* pierwszych wieków ludzkości. Jemu także udało się znaleść ową sławną szczękę ludzką w Moulin-Guignon, a tem odkryciem i dyskusyami które ono wywołało, spowodować zupełny przewrót w tej gałęzi nauki która nas zajmuje. Dziś w żaden sposób nie można już wątpić o istnieniu człowieka w epoce czwartorzędnej.

(d. c. n.)

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Z natury rzeczy wypadało mu, przychodząc na okaz, stanąć w miejscu wybitnem, gdzieby mógł być łatwo postrzeżonym. Obrał więc ołtarz na prawo, na przeciw ławek, i myślał oprzeć się o kolumnę jakąś, tak aby mógł jedną nogę zgiąć i nadać postawie więcej wysmukłości, a razem pewne wygięcie figurze i liniją malowniczą. Widywał podobne figury na portretach; kapelusz, chusteczka, ręce z rękawiczkami zawczasu miały nadane sobie role i miejsca wy znaczone. Żałował tylko że w kościele nie było zwierciadła... Udało mu się, acz nie bez trudu, zdobyć pozycyę żądaną, cisnąc powoli jakąś starą babinę, która na pół klęczała, na pół leżała, modląc się na różańcu... Pchał ją tak nieboraczkę, że w końcu mu ustąpiła... Zabrawszy miejsce, pan Maks ustawił się, uśmiechnął melancholicznie, dobył

małą bardzo, ale ślicznie oprawną książeczkę nabożną (pożyczoną od Cioci, która mu to doradziła) i trzymając ją opak, udawał że się modli — kiedy nie kiedy bystre jego oko, przechadzało się po kościele. Osób było pełno, ścisk ogromny, ale nawet przypuściwszy, iż interesowane o Teklę osoby—mogły być przebrane skromnie, nie umiał pan Maks odkryć nikogo... coby myśli jego odpowiadał.

Patrzała nań z niezmierną uwagą staruszka, w kapeluszu odwiecznym nakształt futerała, pomiętym i bezbarwnym, z jednem okiem przewiązanem chusteczką czarną, ale była ubrana tak, że ją za żebraczkę wziąść można było. Z drugiej strony otyły w kapocie jegomość, typ rzeźnika bogatego, oparty na lasce ze srebrną skówką, modlący się na zatłuszczonej książce... przypatrywał mu się długo także... ale — fe!!

W pierwszej ławce siedziała pani jakaś w kapeluszu z ogromnem piórem strusiem, zbrukanem i posmolonem, ubielona i uróżowana... w atłasach przeszłowiecznych, elegancyi zbutwiałej... Straszna tym wdziękiem, do jakiego zdawała się rościć prawa. Przez lornetkę w perłową macicę oprawną... ona też przyglądała się Maksowi... Wdzięczyła się może nawet trochę, na wpół do Pana Boga, na pół do niego... ale... Maks nie mógł przypuścić... a! nie...

Były i inne postacie różne, które z kolei przyglądały się elegantowi z pewną uwagą, żadna jednak z nich nie przypadała bohaterowi do jego idei. Godnym jedyna pani w czarnej sukni, bardzo miłej twarzy, która niby jakoś typ panny Tekli przypominała — siedząca w pierwszej ławce, tak była zatopioną w książce, iż nie rzuciła okiem na niego.

Przegląd mężczyzn nie był wcale zadawalniający... Mieszczan, sług, urzędników niemajętnych znajdowało się najwięcej, fizyognomije pospolite, nosy kartoflowe i rubinowe, usta szerokie obwisłe, uszy białe odstające, łysiny patetyczne... nigdzie tego kroju arystokratycznego twarzy, jakiego szukał młodzieniec... nigdzie...

A jednak gdzieś w tym tłumie, w tej ciżbie... musiał się znajdować ten ktoś co nań patrzał i admirował go...

Widział naprzeciw Ciocię, zatopioną na pozór w książce, w istocie biegającą jak on zdesperowanemi oczami — i nie mogącą znaleść słowa tej nieszczęśliwej zagadki.

Panu Maksowi, pomimo jego zaufania w sobie, stanie to pod pręgierzem w czasie sumy i kazania wydało się nadzwyczaj długiem. Nie wypadało mu zatem wychodzić pierwszemu, chciał aby mu się napatrzono do woli. Schował tylko książeczkę i przybrał postawę jeszcze bardziej malowniczą i posągową...

Zaczęli już pobożni wysuwać się z kościoła, gdy z drugiej strony umieszczona Ciocia Baronowa przysunęła się do siostrzeńca z uśmiechem.

— Wiesz, szepnęła mu na ucho, tak dalece nic dystyngowanego nie postrzegłam, że w głowę zachodzę... Przypuściwszy nawet, że ci państwo, ta pani czy ten pan... przebrali się... jabym zaraz rysy i krew poznała... Tu same, same mieszczaństwo chodzi. Nie przypuszczam mistyfikacyi.

— I ja też — rzekł młodzieniec, ale kościół duży... nie bardzo jasny... Ja także nic podobnego... nie mogłem dostrzedz.

— Zakazane figury! dodała ciotka. Podaj mi rękę — i chodźmy.

Maks był posłusznym, środkiem kościoła pociągnęli zwolna, z powagą jaka krwi Rabsztyńskich przystała... Mnóstwo ludzi już było wyszło, jednakże we drzwiach ścisk był jeszcze... a Ciocia zasłaniała sobie nos aby nie wąchać mieszczan, przeciw których specyficznej woni, miała rodowe uprzedzenie. Potrącani nieco — wysunęli się wreszcie na schodki, ale tu, wrzawliwiej niż wprzódy, żebractwo upominało się o jałmużnę i ów obrzydliwy kaleka na czółenkach... podsunął się pod sam łokieć panu Maksowi, tak że nań ofuknąć się znowu musiał... Pani Baronowa nie mająca też w zwyczaju dawać żebrakom nic, aby ich w występnem próżnowaniu nie utwierdzać — ze wstrętem odwracała się od natarczywych dziadów, Maks powtórzył głośno swą uwagę, że policya powinnaby to wszystko pozabierać do szpitalów.

Żebrak pomimo tak dobitnej odprawy, nie przestawał wpatrując się dziwnie w pana Rabsztyńskiego, naprzykrzać mu się, jękliwym głosem...

— Daj grosik.... paniczku — nieszczęśliwemu kalece...

— Pójdźże ty mi precz! mówię ci! wykrzyknął młodzian oburzony, i popchnąwszy bezwstydnego dziada, aż się pochylił—ciotkę i siebie ocalił od tego oblężenia łachmanów...

Na ulicy dopiero odetchnęli swobodniej.

— No, cóż ty mówisz? odezwała się Ciocia.

— Ale ja — ja — się tylko dziwuję, odezwał się Maks — żeby nas posłali do takiego kościoła, gdzie nikogo nie ma przyzwoitego. Jeszcze to dobrze że nas tu nikt nie widział... bo by sobie ludzie Bóg wie co pomyśleli.

Domawiał tych słów gdy śmieszek usłyszeli za sobą. Niezmiernie ciekawa pani z Villamarinich z mężem — wcisnęła się też była do Dominikanów i właśnie wyszła z kościoła.

— Moja Baronowo — zawołała--moja droga pani — czyście co dostrzegli?

— A! to kochana pani! Ale ani ja ani Maks... nic podobnego — nic a nic.

— Tak — ja... zupełnie nic.

— A pani? spytała baronowa naczelniczkę pensyi. Ta ruszyła w milczeniu ramionami.

— Wzrok mam może krótki, ale — doprawdy...

— No to ja — jak się zowie, byłem szczęśliwszym, rzekł zbliżając się głosem zniżonym i pełnym przejęcia pan Filipowicz. Tak jest! o! ja mam oko, nie chwaląc się trafne i szczęśliwe.

Żona powtórzyła ramionami zaprzeczenie.

— Na uboczu — jak się zowie, mówił niezważając na to Filipowicz, osłoniony cieniem, za filarem, stał — jak się zowie, średnich lat mężczyzna... Postać uderzająca, znakomita, dystyngowana... pyszna!

— Gdzie? gdzie? posypały się głosy... z której strony?

— Z lewej! za filarem! tak jest — z wzrastającem przejęciem mówił profesor. Widziałem jak oczyma kogoś szukał i jak je potem wlepił z attencyą w pana Maksa... Wystrzegał się — jak się zowie — aby go nie odkryto — oglądał, udawał że nie patrzy — ale ja mam oko!

Profesor głośno się rozśmiał, pani z Villamarinich syknęła...

— Ale proszęż cię..!

— Ja go nie widziałam! zawołała Baronowa.

— Ani ja — wtorował Maks.

— A ja — ja rękę daję — gotówym... no — gotówym zakład trzymać — rzekł Filipowicz, że to był... tak — to był... ten ktoś.

— Jakże wyglądał? pytała Baronowa.

— Mój Boże! to trudno, jak się zowie, określić słowy. Miał w sobie coś, coś — co zdradzało... wielką rasę... ród...

W tej chwili mężczyzna przystojny, lat średnich, ubrany skromnie, zbliżył się, a Filipowicz żonę tak za rękę uszczypnął wskazując go, że krzyknęła. Odskoczył profesor... Nieznajomy szedł zwolna, czy wszystkich były w niego wlepione — gdy wśród tego uroczystego milczenia z tyłu ozwało się nawoływanie:

— Panie Wołczek! panie majstrze!

Nieznajomy się odwrócił na tego majstra — wszyscy oprócz Filipowicza śmiechem parsknęli.

Nie stracił jednak przytomności profesor.

— To nie ten — rzekł z powagą — omyliłem się, nie ten... Tamten był — bez wąsów...

Pani z Villamarinich ramionami ruszyła. Poszeptawszy coś z Ciocią, pan Maks uznał za właściwe grzecznie prosić pani naczelniczki pensyi na małe śniadanie, tam gdzieby ona sama wybrała...

Filipowicz niemający głosu, niespokojnie zaczął spoglądać — w obawie aby dumna jejmość nie odrzuciła bardzo mu ponętnego zaproszenia. W istocie wymawiała się z początku, ale naleganiu baronowej uległa i poszli wszyscy na lekkie śniadanko do Bouquerel'la...

Maks był w urządzaniu podobnych przyjęć, mężkich czy mieszanych, prawdziwym mistrzem... a że Baronowa zgodziła się ponieść kosztów połowę, obmyślił zaraz—naprzód, wstępną przekąskę... lekkie drobiazgi... dalej nic jak, kurczęta, szparagi, i coś słodkiego. Dla pań i mężczyzn miał być szampan...

Wyprzedziwszy nieco resztę towarzystwa, wpadł Maks zaraz zamówić osobny gabinet, który szczęściem, wolny się znalazł. Pani z Villamarinich nie była nieprzyjaciołką smacznych takich niespodzianek, lubiła jeść, a sam Filipowicz doznawał niewypowiedzianie błogiego uczucia, pojąc się samą wonią kuchni Bouquerel'a, nie przypominającą wcale... wyziewów jego stołu administracyjnego, w którym zawsze tłustość barania przyskwarzona, brała górę.

Chodził zacierając ręce, dwa razy potajemnie z Maksem wódki się napił, czuba zatarł i wydał się małżonce nieznośniejszym niż kiedykolwiek swoją butą, która nawet karcącemu go wzrokowi nie ulegała. Zamiast pokorniec, uśmiechał się do jejmości i szedł napierając się ją w ręce całować, co ją do niecierpliwości doprowadzało.

— A już! szepnęła cicho.

— A nie! odparł śmiało Filipowicz. Jak się zowie, jako żywo — nie — i że nie — to nie...

Dwie panie rozmawiając po cichu, z pomocą Filipowicza, tak oczyściły stół z kanapek, przekąsek, śledzi, iż w końcu poznać nie było podobna co na talerzach spoczywało. Ale tuż szły — szampan w lodzie, dwie głowy poważne — wyglądające z dwu wazonów potem okrytych — kurczęta i szparagi.

Omlecik z konfiturami — miał stanowić epilog.

Kurcząt było — tu się okazała dystynkcya i delikatność uczuć Maksa—nie czworo—takby postąpił parafianin — ale pięcioro... aby mogło coś niedojedzonego (comme il faut) pozostać... W tem go wszakże omyliła rachuba, bo połowę kurczęcia ostatniego przygarnęła nieznacznie pani z Villamarinich, a drugą pochwycił brutalsko Filipowicz, który zdawało się jakby ze trzy dni nie jadł. Baronowa smutnie na to spojrzała, bo czuła że ta połowa jej się właściwie należała, ale czego dla ukochanego siostrzana nie mogła uczynić przywiązana Ciotka!

Z omletem około którego z początku były protestacye, że go nikt już jeść nie będzie, nie może, stało się to co z kurczętami — okazał się osobliwszej dobroci... konfitury były przedziwne... i zjedzono je do dna.

Natychmiast po spełnieniu tego obowiązku, pani z Villamarinich wstała niespokojna czegoś, szepnęła mężowi aby sam poszedł po dorożkę, i, pomimo próźb aby dłużej spoczęła, natychmiast odjechała pod pozorem iż Instytutu na czas tak długi opuszczać nie może. Filipowicz zaś po cichu oświadczył Maksowi, ubolewając nad tem iż żonie musi to-

warzyszyć — iż powodem istotnym było słabe zdrowie jego pani, nie nawykłej do śniadań z szampanem zwykle przyprawiającym ją o mdłości...

Ciocia Baronowa odeszła też wprędce, zostawiając rachunek do zapłacenia siostrzeńcowi, którego miała później indemnizować. Niemiłe to na nim uczyniło wrażenie, ale smutnej konieczności poddać się musiał, i poszedł układać się z panem Bouquerel'em o wpisanie przynajmniej części tego wydatku, na dość już znaczny, rachunek...

Że mu się to nad spodziewanie gładko powiodło jakoś, a nad przyszłością i jej następstwami zbyt trwożliwie niezwykł się był zastanawiać, w humorze więc poprawionym wyszedł podśpiewując w bramie hotelu, i tu przez chwilę się zatrzymał z cygarem w ustach. . Nie tylko go to nie kompromitowało, ale dawało mu pewien *chic*, że widocznie śniadał u Bouquerela — o czem przechodzący ulicą łatwo z twarzy i cygara przekonać się mogli.

Gdy tak stał sobie rozmyślając jeszcze o kościelnej przygodzie i osobach podejrzanych o stosunek z panną Teklą — które przypominał, na trotuarze ukazał się wcale przystojny, ale bardzo skromnej powierzchowności młodzieniec.

Była to jak wiemy niedziela; wedle starego obyczaju, nadchodzący ubrany był widocznie staranniej niż we dni powszednie a pomimo to prawie ubogo, choć chędogo. Surducik dobrze zachowany, czysty, nowy, leżący nieźle, nie był pierwszej mody, reszta stroju nie raziła ani elegancyą przesadzoną ani zaniedbaniem. Było nawet dosyć smaku w tym ubiorze skromnym a starannym... Twarz miał, mimo młodości, bardzo poważną i zamyśloną, poznać a raczej domyśleć się w nim łatwo człowieka co nawykł sam o siebie się starać i troszczyć, za co zawczasu dojrzał nie mając czasu wyszumieć w młodości.

Twarz trochę bladą, jakby od pracy, pięknych zresztą rysów, ożywiało dwoje oczów ciemnych, z których pojęcie bystre patrzało. Około niewielkich ust, igrało pół uśmiechu smutnego zarazem i ironicznego. Szedł zwolna, niedzielnym krokiem przechadzającego się i odpoczywającego. Pan Maks zdaleka go ujrzawszy, przybrał postawę raźną, pańską, imponującą, wziął się w bok, i począł puszczać dym z cygara w sposób wyzywający... Oczy zmrużył... głową potrząsał. Młodzieniec podszedłszy ku niemu, popatrzał nań, stanął i uśmiechnął się.

— Maks! ani chybi po śniadanku u Bouquerela...

— A, to ty, kochany Emilku! Jak się masz... słowo honoru... jakoś zdaleka nie poznałem.

— Toby i zblizka mogło się trafić, rzekł z uśmiechem spokojnym Emil... rzadko się widujemy, żyjemy w dwóch różnych sferach.

Maks się potwierdzająco uśmiechał, jakby mówił: Cóż na to poradzić — tak jest!

— Jakże się powodzi Emilowi? odezwał się protekcyonalnie.

— Nie skarżę się. Wiesz że w biórze ministerstwa... mam miejsce. Na początku to mi starczy— awansu prędkiego się nie spodziewam, ale z czasem i to przyjdzie. Głodu nie cierpię, do oszczędności nawykłem...

— Co? i zawsze piszesz ten dykcyonarz swój, rozśmiał się ruszając ramionami Maks. Jak Bo'a kocham... dykcyonarz!... cha! cha!

— Z ogromnym zapałem! zawołał Emil, i nie uwierzysz jak mnie to robi szczęśliwym.

— Jak Bo'a kocham! dykcyonarz robi go szczęśliwym! a to... I począł się śmiać. Emil patrząc nań śmiał się także.

Maks jednak po śniadaniu miał głos silniejszy, głębszy, i górował nad biuralistą, patrząc nań z góry...

— Panie Maksie — odezwał się gdy wesołość się nieco uśmierzyła — miałbym mój drogi prośbę do ciebie.

— A no!! aby nie o pieniądze—odezwał się Maks ręce kładąc do kieszeni, bom goły jak święty turecki... a dziś niedziela i nikogo w domu, żeby pożyczyć...

— Wszakże pamiętasz ze szkół, odparł z wymówką Emil, że nigdy u nikogo nic nie pożyczałem.

— A to prawda — rzekł Maks — znowu wracając do śmiechu.

— Oto, wiesz co? Bywasz podobno na pensyi u Filipowiczowej.

Maks spoważniał i jakby uląkł się nieco...

— Albo co? albo co? spytał.

— Ale nic, nie bój się — to do mnie nie należy czy ty tam tańcujesz, czy panny bałamucisz... Jest to dla mnie rzecz zupełnie obojętna. Jabym chciał się poznać z państwem Filipowiczami. Jak na dziś, nie mam w tem żadnej myśli — ale na przyszłość, któż wie, możebym u nich lekcye mógł znaleść. Mam dużo wolnego czasu.

Spuścił oczy Emil i laseczką coś począł kreślić po kamieniach, Maks stał w protektorskiej postawie.

— Jużci to pewna że bywam u Filipowiczów bo mnie tam Ciocia Baronowa wprowadziła — począł powoli — i jestem u nich dobrze położony... ale to tam wcisnąć się trudno! widzisz... Naprzód by trzeba Filipowicza parę razy prosić i nakarmić a podpoić, a potem znowu... wkręcić się do pani... To baba, powiadam ci, jak fasa pełna fumów...

Ruszył ramionami i splunął.

— Gdyby nie Ciocia Baronowa — powiadam ci, dodał, i jabym się tam nigdy na tę pensyą nie dostał. Ale zkądże ci ta myśl przyszła.

— Mieszkam naprzeciwko, okna w okna... tylko że oni na pierwszem, a ja na trzeciem piętrze. Dogodnem by mi było, tylko przez ulicę lekcyę dostać, i dawałbym nie drogo.

— Ja cię zapoznam z Filipowiczem — odparł Baron — czemu nie — koledzy jesteśmy... radbym usłużyć, nie każdy jest w takiej jak ja pozycyi że się bez pracy obejść może...

— Tak jest! potwierdził trochę ironicznie Emil— tak jest.

Jeden Maks protekcyonalnie się puszył, gdy niespodziana zaszła zmiana dekoracyi. W ulicy ukazała się amerykanka, pięknemi parą koni zaprzężona, którą powoził sam właściciel, z przepysznemi angielskiemi bakenbardami, za nim z powagą angielską, z rękami na piersiach złożonemi, w kapeluszu z kokardą, zajmował z tyłu miejsce groom — egzemplarz przepyszny!...

Pan i sługa wycięci się zdawali z angielskiej rycinу. Powożący z takim szykiem rozparty był, tak trzymał lejce, tak miał zatknięty bicz, włożony kapelusz, postawione nogi, wściubioną chusteczkę do kieszonki na piersiach, że aż miło nań patrzeć było. Groom znowu gdyby drewniany był, sztywniejszym i głupszym wydawaćby się nie mógł.

W chwili gdy ekwipaż ten nadjeżdżał, z wyżyny amerykanki spojrzał na Maksa jej właściciel i uśmiechnął się mu, zupełnie z tą samą dozą protekcyi, z jaką Maks patrzał na Emila. Rabsztyński stracił wnet swą pychę i stał się maluczkim, a nawet nie pożegnawszy towarzysza, poskoczył do amerykanki, w której mu miejsce ofiarowano. Z twarzy jego widać było jak go to uszczęśliwiało. Już na wsiadaniu Emilowi głową tylko skinął... skoczył na stopień, konie się osadziły trochę, groom drgnął, i amerykanka wolnym truchtem posunęła się dalej ulicą.

Emil pozostał sam, popatrzał z pewnym rodzajem politowania i zwolna pociągnął dalej.

Kilka słów należy od nas panu Emilowi Drażakowi.

Był on jedynym synem dzierżawcy, z sąsiedztwa Rabsztyńskich. Złe czasy i wypadki, okoliczności od woli ludzkiej niezależne, rodziców Drażaka przywiodły do zupełnego ubóstwa. Zmarł zagryzłszy się ojciec, pozostała matka żyła dla syna aby go wychować. Macierzyństwo spotęgowało jej siły, dało jej instynkt, moc, rozum, nawet środki wyprowadzenia Emila na świat zbrojnym i gotowym do wszelkiej walki z życiem. Pracowała ona dla dziecka i nauczyła go miłości pracy. Chłopak był roztropny, bieda nauczyła go cierpliwości i wytrwania, tak, że gdy matkę utracił, a sam pozostał, nie poszedł żadną drogą krzywą. Znalazł skromne zatrudnienie, zastosował życie do położenia i milcząc, cicho, wytrwale, wybijał się powoli ku górze.

Miał już parę tysięcy złotych pensyi i parę lekcyi jakichś, które mu w pomoc przychodziły. Żył nadzwyczaj oszczędnie, stołował się miesięcznie u Rzepczaka, odzienia oszczędzał, zabaw unikał — a, najszczęśliwszym był, gdy mógł zająć się swoim dykcyonarzem.

Tak było w istocie — szczęście pana Emila stanowił idealny dykcyonarz geograficzny i historyczny kraju. Do niego zbierając materyały, spisując je na karteczkach, porządkując, poprawiając... doznawał rozkoszy jakie praca tego rodzaju dać może, gdy kto ją weźmie za cel życia. Śmiano się z tego, Drażak i sam nawet śmiać się był gotów, a nic go to od dalszego ciągnięcia roboty nie zrażało. Wkręcał się do biblijotek, wertował dzieła, częstokroć nadaremnie przerzucał stosy tomów, nim znalazł co dla swego dykcyonarza, ale gdy mu się trafiło na śmietnisku odkryć perłę, miał takie szczęścia chwile, iż by mu ich nie jeden pozazdrościł.

Nie darmo wszakże ma się lat dwadzieścia kilka! Młodości niepodobna utopić nawet w głębinach takiego słownika jak Morerego i Bayla!! Emil musiał czasem odpoczywać i oknem wyglądać. Naprzeciw była pensya pani z Villamarinich wdowy Montant, secundo voto Filipowiczowej. Wprawdzie okna jej sztorami były pozasłaniane, a gdy się otwierały, pannom dorastającym surowo zakazanem było wyglądać w ulicę; ale — z jednego okna pokazywała się twarzyczka świeża, okolona włosami jasnemi, ładna, zamyślona, smutnawa. Oczy tej twarzyczki czasem, z roztargnienia zapewne, zwracały się ku oknu trzeciego piętra... a wejrzenie Emila ciekawie śledziło owo oblicze w złotych ramach włosów.

Zrazu gdy się wejrzenia spotykały, natychmiast właściciel i właścicielka ich, pierzchali... Panna pilnie czytała... Emil chodził z grubemi książkami po swoim pokoju, i tylko w pewnych danych chwilach ukazywał się w oknie. Zwolna jednak oswoiły się niebieskie oczy z ciemnemi, a ciemne z niebieskiemi, tak że się już siebie bać przestały, owszem spotykały się spokojnie, jak dobrzy starzy znajomi... ledwie bym nie powiedział że się witały.

Dalsza historya oczów pierwszego piętra i wejrzeń trzeciego nie jest nam bliżej znaną — i nikomu też w świecie nie była wiadomą. Tylko przyjaciołka panny Tekli poczciwa Maryanna Rzepczakówna zobaczywszy raz przypadkiem w oknie pana Emila, z wielkim zapałem napapłała o nim ogromnie wiele swej Tekluni. Córka restauratora, u którego Drażak się stołował, choć się w nim może nie kochała, miała dlań sympatyę, szacunek, uwielbienie nadzwyczajne... Był to jej ideał... Jego chłód, jego powaga, dobrotliwy uśmiech, grzeczność przyzwoita, czyniły na dziecięciu takie wrażenie, jak bóstwo na Bajaderze w słynnej poezyi Goethego.

Opowiadała o panu Emilu, podowiadywawszy się nie wiem jak tyle pięknych rzeczy, że potem... oczy

z piętra na piętro strzelały coraz ciekawiej — i — stało się — że pan Emil poprosił Maksa aby go w jakikolwiek sposób zapoznał z Filipowiczami... a Rabsztyński raczył mu to przyobiecać... nie domyślając się wcale, co mu groziło.

(*d. c. n.*)

PIOSENKA.

Gdzieżeś o sokole mój,
Gdzie bystry zwróciłeś lot?
Wziąwszy z sobą marzeń rój
I mych myśli każdy zwrot.

Czy cię inny zwabił kwiat,
Czy już nie chcesz dawnych dni?
Może ci za ciasny świat,
Twa myśl o obłokach śni!

Gdzie ty jesteś? pytam chmur
Które z dali, pędząc w dal,
Szukam cię ze szczytów gór,
Szlę ci piosnkę z biegiem fal.

O sokole! oczy twe
W serce mi rzuciły czar,
Myśl o tobie w czole wre,
Jako szereg sennych mar!

Jakże długo nie ma cię,
W oczach się już kręcą łzy,
Nie ma wieści—gdzie on gdzie,
Sokoleńku, wrócisz ty!

Eliza R.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegji.

przez Alberta Vandal.

(**Streszczone przez J. B.**)

(Dalszy ciąg).

Pewnego dnia większy jeszcze niż zwykle ruch panował w Diurgarden; wszystkie statki przystrojone były bukietami, na wszystkich byli muzykanci. Było to 26 czerwca; Sztokholm obchodził uroczystość narodową. Nie było to święto kościelne ani też rocznica jakiegoś zwycięztwa — których tyle możnaby obchodzić w dziejach Szwecyi — nie, to uroczystość narodowa na cześć ulubionego narodowego poety, Bellmann'a. Bellmann żył przed stu laty; przez lat trzydzieści składał i improwizował różne wiersze opiewając piękność i chwałę Szwecyi i jej mieszkańców, które wszyscy umieją na pamięć. Bellman lubił bardzo Diurgarden i często się tu przechadzał; wdzięczni ziomkowie wznieśli tu pomniki jego poświęcone pamięci. Na tarasie Hasselbacken stoi jego posąg; w miejscu gdzie spoczywać lubiał wznosi się świątynia, a w najpiękniejszej części lasu kolosalne popiersie wieszcza. Tu corocznie odbywa się uroczystość pamiątkowa, a miejscowość jakby na ten cel stworzona. Otaczające skały tworzą naturalny amfiteatr:; 26 czerwca miejsca na gradusach skał są płatne po 10 ryksdalów, mimo to docisnąć się do nich trudno. W około pomnika, improwizowani artyści śpiewają chwałę Bellmann'a; poncz zamrożony dodaje wesołości, do koła krążą uszczypliwe dowcipy i anegdoty z życia poety. Światły oddany galanteryi i miłostkom dwór Gustawa, przypominał dwór Valezyuszów, Bellmann zastępował tu Klemensa Maroti równie jak on uwielbiany był przez kobiety, choć nie bardzo ochraniał ich uszy. Śmiejąc się powtarzają, że poeta rozweselał dwór i trwonił jego dochody; że miał genijusz ale miał także i długi. Pewien starzec opowiadał że był na poświęceniu pomnika w 1826 r. Król i królowa przewodniczyli uroczystości; obok nich siedziała żona poety, która zdawała się bardzo wzruszona. Królowa zaczęła mówić do niej o ulubionym pieśniarzu, o wspomnieniach jakie dzień ten musiał w niej budzić: „Ach! odpowiedziała, nie masz W. K. Mość pojęcia jaki nudny był w domu.“

W tem gwar rozmów cichnie, nowy chór otoczył kolosalne popiersie; składający go tak zwani „towarzysze Bellmann'a, odznaczają się kokardami i bukietami. Adepci tego poetycznego bractwa składają się z ludzi wszelkiego stanu; godłem ich: „pić, wiersze składać i śpiewać“ zgodnie z zasadami poety. Zaczynają śpiewać jedną z najpopularniejszych pieśni Bellmann'a na nutę dzielną, żywą, niekiedy ostrą, jakby śpiew fauna nagle rozlegający się z pośród drzew; po skończeniu, przewodniczący stowarzyszenia napełnia puhar winem i wylewa je na głowę poety: kapelusze lecą w górę, głośne hurra! rozchodzi się po lesie. I znów nastaje cisza, wszyscy odkrywają głowy i tłum cały śpiewa poważnie odę patryotyczną, śpiew wojenny podobny do hymnu; wszystkie twarze tchną gorącą miłością dla Szwecyi, muza Bellmanna wznosi się, uszlachetnia i przeistacza pod tchnieniem patryotycznego zapału.

Już to ludy skandynawskie lepiej niż inne umieją ją cenić za życia i czcić po śmierci swoje chwały narodowe; wszak niedawno temu król duński postępował za trumną Andersen'a, a Kopenhaga przywdziała po nim żałobę.

W żadnem innem mieście nie ma tyle posągów, pomników i napisów co w Sztokholmie, królowie ulani z brązu lub wykuci z marmuru, tryumfatorowie w starożytnych draperyach, myśliciele, uczeni, pisarze, zdają się marzyć w pośród drzew zieleni. Posągi Berzelius'a niezmordowanego chemika, Lineusza ojca botaniki, stoją tuż obok posągów królów, Gustawa Adolfa, czczonego bohatera i Karola XII ukochanego wojownika.

W muzeum monarszem, w jednej sali pomieszczono skrzypce Bellmann'a, dyplom Lineusza, oraz buławę jaką Gustaw Adolf nosił w bitwie pod Lutzen i laskę marszałka Francyi, Bernadottego. Przez cześć dla pamięci bohatera, Szwedzi przechowali nawet skórę konia, na którym siedział Gustaw Adolf gdy padł zabity w bitwie pod Lutzen. W galeryi w której Szwecya zgromadziła pamiątki po wszystkich swoich monarchach, błyszczą damasceńskie i ryte zbroje, kaski z pióropuszami, szaty lśniące od drogich kamieni, szczerozłote berła, bogate rzędy, którychby pozazdrościł najbogatszy kalif. W pośród tych feodalnych przyborów, postrzegamy z zadziwienia prosty ubiór żołnierski mały pilśniowy kapelusz przeszyty kulą: nie dziw, to mundur który nosił bohaterski Karol XII i w którym legł na placu boju.

Nieco o podal, w szkatułkach z cizelowanego złota mieszczą się kosztowne zegarki, naszyjniki i klejnoty niegodnej córki Gustawa Adolfa, królowej Krystyny, która pewnego poranku uciekła ze swego królestwa gonić za przygodami i romansowemi intrygami. Szwedzi nie bardzo cenią pamięć tej awanturnicy z królewskiego rodu, i mają słuszność.

Ten szereg monarszych pamiątek zamyka czarne jedwabne podarte i zakrwawione domino; miał je na sobie Gustaw III-ci w ów wieczór karnawałowy, gdy siedząc w loży opery sztokholmskiej, padł od pistoletowej kuli Ankarstroem'a. Ta podarta szmata jedwabna przedstawia nam postać Szwecyi w końcu XVIII-go wieku, w tej epoce świetności, cywilizacyi i rozwoju piśmiennictwa, ale zniesławionej intrygami, zepsuciem i zbrodnią. Na widok tego domina Gustawa i na wspomnienie owej epoki, mimowolnie przychodzi na myśl co Voltaire powiedział o XVI-ym wieku: „To szata jedwabna haftowana złotem i krwią zbryzgana.

Wszyscy ci monarchowie, których charaktery i dola tak była różną, spoczywają obok siebie w kościele Riddarsholmskim; wspólny ten grobowiec królów szwedzkich, wznosi się tuż obok ich pałacu; widać książęta z rodu Wazów nie doznawali tego strachu co Ludwik XVI-ty, który wybudował Versailles aby nie mieszkać w Saint-Germain, zkąd widział wieże Saint-Denis. Ze wszystkich kościołów sztokholmskich, sam tylko Riddarsholm jest prawdziwie godny widzenia, a jeszcze jest to raczej grobowiec niż kościół. Służba boża odprawia się tu tylko podczas pogrzebów królewskich. Spłaszczone słupy podtrzymują szare, wilgotne sklepienia; sama nagość muru posępniejszym jeszcze czyni ten bezmierny grobowiec. Jedyną ozdobę stanowią tu zdobyte sztandary i trofea, piramidy bębnów i trąb, każdej chwili gotowych uderzyć na appel. Ściany chóru pokrywają godła heraldyczne: są to herby wszystkich kawalerów orderu Serafina. Pod jedną tarczą stoi napis: *Napoleon pierwszy, cesarz Francuzów.*

Tuż naprzeciw herbów cesarskich wznosi się sarkofag z czerwonego porfyru w którym spoczywają śmiertelne szczątki Bernadotte'go, marszałka napoleońskiego, a następnie sprzymierzeńca koalicyi. Zdradzony orzeł wpatruje się w trumnę Bernadottego, jakby przypominając mu, że kawalerowie Serafina wieczną wierność przysięgali sobie!...

Plac roztaczający się przed kościołem Riddarsholm, był widownią jednego z ostatnich dramatów ludowych jakie krwią zbroczyły Sztokholm; tu zginął Fersen, którego nazwisko znajduje się i na kartach historyi Rewolucyi francuzkiej. Dziwneż bo było przeznaczenie tego człowieka; zdoławszy ujść wściekłości demagogów paryzkich, ginie w Sztokholmie rozszarpany przez rozwścieczone pospólstwo. W Paryżu o mało nie dało mu się ocalić królowej, tu pada zamordowany w imię królewskości.

Fersen był potomkiem jednej z najznakomitszych i najstarożytniejszych rodzin szwedzkich. Naddziadowie jego byli dzielnymi wojownikami; należeli do tych dumnych i niezłomnych arystokratów, uważających króla raczej za najpierwszego ze szlachty, niż za władzcę narodu. Wodzili rej wszędzie, w obozie, w senacie, na dworze. Arel Fersen towarzyszył Gustawowi III w jego podróżach po Europie; przybył do Paryża, bywał na festynach wersalskich i na poufniejszych zebraniach w Trianon; dwór francuzki błyszczał wtedy ostatnim swym blaskiem.

Znakomite nazwisko, rozum i cała postać Fersen'a zwracały na niego wszystkie oczy, ale w pośród gwaru uciech i zabaw, głębsze wznioślejsze zajmowały go myśli; poznał królowę i uczuł dla niej miłość a raczej cześć najgłębszą. Gdy rozruchy zastąpiły zabawy i bale, Fersen pozostał w Paryżu; wysztyftował cały pułk pod nazwą Royal-Suedois, i dzielne ramię swoje chciał poświęcić obronie zagrożonej królewskości. Pewnego dnia, w jesieni 1791 r. książe Orleański spotkał Fersen'a na drodze do Vincennes, jak probował ciężkiego powozu zaprzężonego w cztery konie. „A toż co, hrabio, zawołał doń książę, czy zamierzasz wykraść cały chór Opery?“ „A może,“ odpowiedział. W kilka dni pó-

źniej, siedział na koźle tego samego powozu, przy rogu pałacu Tuileries i ulicy Tournelle, zmieniony do niepoznania w ubraniu furmana. Wkrótce wysunęła się tajemniczo jakaś kobieta z dwojgiem dzieci i prędko wsiadła z niemi do powozu; niezadługo wsiadł znowu jakiś mężczyzna otyły, ciężkim i niepewnym zbliżający się krokiem. Był to Ludwik XVI i pani Elzbieta; minęła godzina królowa nie nadchodziła; przyszła nareszcie w wielkim kapeluszu i zapuszczonym woalem, nie mogła wymknąć się prędzej, gdyż wszędzie porozstawiane były straże.

Ruszono zaraz z miejsca i bez przeszkody przybyli do Bondy; Fersen zeskoczył z kozła i rzekł podając królowej pasport uzyskany na imię baronowej austryjackiej: „Do widzenia, pani Korf.“ Królowa nic nie odpowiedziała, tylko zdjąwszy pierścień wsunęła go na palec Fersen'a! W kilka chwil potem rycerz szwedzki wsiadł na koń i galopem popędził aż do Bruxelli, nie spodziewał się że nigdy już nie zobaczy Maryi-Antoniny.

Dnia 10 czerwca 1810 r. obchodzono w Sztokholmie pogrzeb księcia Augusta Duńskiego, wybranego świeżo przez sejm na domyślnego następcę tronu: lud był zasmucony i wzburzony, wszędzie rozlegały się złorzeczenia przeciw Fersenowi, który po królu był najpotężniejszą osobą w całem państwie; głos publiczny oskarżał go iż był sprawcą śmierci młodego księcia. Pewien rybak, dawniej sługa Fersen'a, Baltazar Saphel, jątrzył i podbudzał pospólstwo: mówił że dawny pan jego posiadał zaczarowany pierścień którego nigdy nie zdejmuje i za jego pomocą dokonywa zamierzonych zbrodni. Niezwykła śmierć młodego księcia Augusta który nagle na rewji zachwiał się i bez życia spadł z konia, prawdopodobnem czyniła to oskarżenie w oczach ciemnego pospólstwa.

W tem nadciągnął orszak żałobny; Fersen postępował na czele szlachty; we drzwiach kościoła rzuca się na niego tłum rozwścieczonego motłochu; chcąc się bronić, Fersen dobywa szpadę lecz został zabity kamieniami. Motłoch rzuca się wściekle na martwe ciało chcąc dostać pierścień, lecz ta pamiątka od królowej Francyi trzyma się palca jakby nadprzyrodzoną siłą. Wtedy Baltazar przedziera się przez tłumy, siekierą odcina i rąbie rękę, porywa zanużaną we krwi obrączkę, jako zdobyte trofea unosi po nad głową i rzuca w fal otchłanie.

W kilka dni później, Baltazar Saphel chciał wpłynąć do zatoki; noc była ciemna, wiatr łódź jego popychał. W tem nagle zatrzymała się jakby uderzyła o rafę, jednak nie przewróciła się; wicher miotał masztem, nadymał żagle jakby je chciał poszarpać. Łódź podnosiła się, zatrzymywała chwilę na wierzchu fal, później nagle opadała bezsilna, ale nic się nie posuwała. Przerażony niewymownie, Saphel podniósł oczy w niebo; i ujrzał zakrwawioną rękę opartą na szczycie masztu, zatrzymującą statek wśród burzy. W tem statek zmienił kierunek, dopłynął do skały oświetlonej fantastycznem światłem i Saphel dostrzegł na niej pierścień wyrzucony przez fale. Wyskoczył na ląd i chciał uciekać, ale ręka chwyta go za ramię, trzyma silnie i doprowadza napowrót do skały; Saphel porywa talizman i przerażony upada na statek.

Nazajutrz, w kościele w którym złożono pokaleczone zwłoki Fersen'a, znaleziono na trumnie pierścień złożony tam przez tajemniczą rękę i rodzina Fersena po dziś dzień przechowuje tę pamiątkę.

Oto co mi opowiedział raz wieczorem pewien sędziwy starzec mieszkający w Sztokholmie, przechadzając się ze mną po cienistym Diurgardenie. „Dziś, dodał, nie robimy już rewolucyi; w zimie za zimno, w lecie za piękny czas”. Stanęliśmy właśnie na szczycie wzgórza; wskazał mi zatokę błyszczącą u stóp naszych, pomiędzy pniami sosen i gałęziami bukowemi. W oddali, Sztokholm rysował na horyzoncie swe skały i kopuły. Północ wybiła; słońce zaszło, wschód się zbliżał. Noc jednogodzinna, przezroczysta i świetlana, zapadła nad wodami i roślinnością, roztaczając łagodne swe cienie. Promienie księżyca kreśliły na zatoce niebieskawe bruzdy: walcząc ze dniem który ustąpić nie chciał. Tysiączne głosy przyrody zamilkły dokoła, i tylko w oberży Diurgardenu dochodziły nas wesołe śmiechy i śpiewy. Podczas świetlanych nocy Północy, przyroda zasypia, człowiek czuwa. Mieszkańcy Sztokholmu zapominają o śnie, ludność cała żyje na wodach lub w parkach.

Odpłynęliśmy z powrotem do miasta; wątła łódź nasza milcząc przesuwała się po ciemnych falach, w których tak wyraźnie odbijały się kształty pałaców i pomników, iż niekiedy zdawało się iż lekki statek rozbije się o przewrócone odbicia kopuły lub domu. Obok nas żeglowała niezliczona liczba statków; zewsząd dochodziły nas miłe i melodyjne dźwięki muzyki, grającej w parkach i ogrodach publicznych. We wszystkich parkach odzywały się orkiestry; weneckie latarnie błyszczały wśród liści gajów, rzucając blade, migotliwe światełko, jakby roje gwiazd spacerujących po ziemi.

Tak sunąc wśród Sztokholmu jakby wśród wymarzonego widzenia, podziwialiśmy tę królową Północy, zarazem smutną i wesołą, w której wieczorem słychać dźwięki dwudziestu orkiestr a niepodobna słyszeć turkotu choćby jednego powozu; to miasto w którem przyszedł na świat wesoły śpiewak Belman i poważny illuminat, Swedenborg—to miasto stworzone zarazem do uciech i do marzenia.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA Z BERLINA.

Stan przemysłu w Niemczech. — Czy Niemcy mają przyjąć udział w Wystawie paryzkiej. — Praca kobiet i dzieci w fabrykach. — Uroczystość 4 Września. — Sławny amerykański doktór Evans w Koblencyi. — Wystawa Sztuk Pięknych i Przemysłu w Monachium. — Ludzie. — Psy. — Ludność Prus i nieustanny jej przyrost. — Wyrabianie prowiantu dla wojska, w Moguncyi. — Installacya Akademji wojennej w Berlinie. — „Lato w Wiedniu,“ Juljusza Rodenberg. — „Prądy opinji,“ K. M. Richtera. — „Raj,“ Pawła Heyze. — „Benvenuto,“ Fanny Levald.

(Ciąg dalszy).

Rocznicę 4 września, jak zwykle tak i w tym roku, hałaśliwie obchodzono w całych Niemczech, a libacye patryotyczne doprowadziły do najdziwniejszych wybryków. Biada Francuzowi który w tym dniu wpadnie między rozbrykanych Niemców: podamy za przykład zdarzenie jakie spotkało sławnego amerykańskiego doktora Th. Ewans'a, zawezwanego na konsylium do Koblencyi, przez cesarzową Augustę. Podczas gdy oczekiwał na pociąg kolei żelaznej, został znieważony przez dorożkarza, który zobaczywszy u niego wstążeczkę Legji honorowej, wziął go za Francuza. Tuż stojący policyant, zamiast stanąć w obronie podróżnika, sam ubliżył mu grubo, a nie dość na tem nazwał szpiegiem. Pomimo takiej zniewagi, wprawdzie nader komicznej z ust niemieckiego policyanta, doktór nie uniósł się, nie stracił zimnej krwi, i nawet dla uchronienia się od obelg i gburowatości zwróconych do kommandora Legji honorowej nie powołał się na swą narodowość amerykańską, tylko spokojnie wyjąwszy z kieszeni pugilarės, zapisał w nim Nr. dorożkarza i policyanta. Widząc to okaziciel prawa wpada w niesłychaną wściekłość, i chwytając za kołnierz sławnego doktora, prowadzi go gwałtem do cyrkułu. I tam Amerykanin znalazł się w obec naczelnika równie gburowatego jak jego podwładny, który jednak zmienił front w jednej chwili, gdy doktór pokazał list wzywający go do cesarzowej: z gbura zmienił się w pokornego służalca. Co najpocieszniejsze iż zuchwalstwo swego podwładnego tłomaczył tem, że widząc wstążkę Legji honorowej w dziurce od guzika, wziął p. Evans'a za francuza. Francuz sercem i umysłem, doktór Ewans uczuł żywo zniewagę wyrządzoną kawalerowi Legji honorowej, i oznajmił urzędnikom Koblenckiej policyi, że dowiedzą się w wysokich sferach o ich postępowaniu. Ciekawa rzecz „czy jeszcze są sądy i sędziowie w Berlinie.“

W miesiącu sierpniu otworzono w stolicy Bawaryi Wystawę sztuk pięknych i przemysłu. Najkrótsze sprawozdanie o jej całości nie dałoby się pomieścić w szczupłych ramach korespondencyi, wspomnę więc tylko o dziale mebli, który oznaczał się szczególnym doborem i gustem. Centralny austryjacki komitet zachęty sztuki przemysłowej, urządził wspaniały salon cesarski, w najczyściejszym stylu *rococo*. Ściany obite są pąsową materyą jedwabną, przerabianą złotem; z tejże materyi urządzone są portiery, firanki i pokrycia na meblach. Nad kominkiem z czarnego marmuru, wisi wspaniałe zwierciadło którego ramy są prawdziwem arcydziełem. Meble są z drzewa czarnego, nabijanego złotem. Follack i Joppich, Dübel, Kleeberg, nadesłali cudnie piękne wyroby stolarskie. Bamberger odznaczył się specyalnością swoją, pięknemi meblami inkrustowanemi słoniową kością. Zwracał także powszechną uwagę gabinet umeblowany przez Poessenbachera, przewyższył go jednak Seidl urządzeniem pokoju w starożytnym stylu niemieckim. Pokój ten oświetlony jest z boku oknem śpiczasto łukowatem, w głębi którego przez otwór urządzono balkon. W jednym rogu stoi piec fajansowy, krzesło, stolik, umywalnia w starożytnym stylu... nic tu nie brak tylko mieszkańców.

W oddziale pruskim odznaczały się tylko wyroby złotnicze Humbert'a i Heylandt'a, którzy wystawili czternaście kopji ze sławnego rzymskiego skarbca Hildesheim'a. Zwracano także uwagę na kobierce naśladujące tureckie z fabryk Leisler'a, Gevers'a, Szmitt'a.

W miesiącu lipcu, Towarzystwo antropologiczne Monachijskie zebrało się na nadzwyczajne posiedzenie, dla rozpatrzenia się i zbadania ciekawych fenomenów, zwanych „ludzie-psy“ których można by uważać za żywy dowód prawdziwości teoryi Darwina. Stawiło się dwóch ludzi, ojciec i syn, których twarze są zupełnie pokryte siercią. U ojca porost ten sięga aż do ramion, jest jedwabisty, gładki, koloru jasnobrunatnego; u syna jest blady, bawełnisty i kędzierzawy. Obaj mają tylko po cztery kły w szczęce niższej i po jednym w wyższej. Twarze pomimo podobieństwa do psów, przedstawiają uderzająco typ turański; słowem jest to nader ciekawa mieszanina człowieka i psa. Profesor Siebold uważa te nadzwyczajne istoty za wzór tego czem była rasa ludzka w epoce przedpotopowej, kiedy jeszcze człowiek zbliżał się do zwierząt. W pozostałościach starego zbioru historyi naturalnej, sięgającego roku 1810, jest w katalogu wspomniane o takichże „ludziach psach“ którzy mieli pochodzić z Monachium. I w XVI wieku była cała rodzina zupełnie podobna do dwóch wyżej opisanych egzemplarzy; z resztą doktorzy dość często spostrzegali ten fenomen, że u niektórych ludzi,

pewne części ciała, zazwyczaj gładkie u wszystkich, bywają przypadkowo kosmate.

Pomimo tak znacznej stosunkowo emigracyi do Ameryki, jednakże ludność Prus bardzo się powiększa. Podajemy tu przyrost ukazujący się co lat dziesięć według urzędowych danych statystycznych, począwszy od końca 1810 r. do końca 1871.

W końcu 1810 było 4,708,410 mieszkańców.

W r. 1820 było	11,272,482	przyrost 6,564,072.
„ 1830 „	12,985,172	„ 1,715,690.
„ 1840 „	14,928,501	„ 1,940,329.
„ 1850 „	16,608,039	„ 1,679,338.
„ 1860 „	18,262,623	„ 1,654,584.
„ 1870 „	24,497,086	„ 6,284,463.
„ 1871 „	24,643,623	„ 146,537.

Dnia 1 grudnia 1871 r. Prusy liczyły 24,643,623 mieszkańców, tak więc w przeciągu lat 61, ludność sześć razy blizko się zwiększyła. Jeźli dalej pójdzie w tym stosunku, w pewnym przeciągu czasu Niemcy zaleją Europę i Amerykę. Te dwadzieścia kilka milijonów ludności zajmuje 2,898,029 pomieszkań w 1289 miastach i gminach. Z tej liczby 23,979,331 osób tworzyły rodziny mniej więcej prawidłowo ukonstytuowane, zaś 277,753 żyło pojedyńczo. Dalej 389,539 zostawało na koszcie zakładów publicznych; osób bezżennych, było 14,952,688 w tej liczbie 11,022,558 małoletnich w wieku lat 20; 8,268,220 w związkach małżeńskich, 1,885,814 wdów i wdowców.

W ogólnej liczbie wszystkich mieszkańców obliczono 14,236,762 ewangelików protestant.; 1,498,875 reformowanych; 226,369 lutrów; 8,266,449 katolików, i 325,587 żydów. Reszta należy do różnych sekt.

Na ogólną liczbę 8,576,801 dzieci mających więcej jak lat dziesięć, 2,260,277 nie umiało ani czytać ani pisać; w tej liczbie było kobiet 155,143, wyznania ewangelickiego 1,083,517, katolickiego 150,290, starozakonnych 23,624.

W Moguncyi wyrabiają obecnie codzień większe zapasy żywności dla wojska. Zakłady urządzone są na tak obszerną skalę, że podczas wojny mogłyby dostarczać dziennie po 500,000 porcyi kawy w tabliczkach, 62,500 pak mięsa, 83,500 pak jarzyn mieszanych, 160,000 pak skoncentrowanej mąki, 62,000 racyi sztucznego chleba sucharów i suchego chleba, i 60,000 racyi siana dla koni, co według uznania wojskowych wystarcza na potrzeby 500,000 armji.

W d. 1 lipca odbyła się w Berlinie instalacya personelu Akademji wojennej, której gmachy właśnie ukończone zostały. Główny gmach wraz z parkiem i przynależnemi budowlami, obejmuje 8 hektarów przestrzeni, długości 300 metrów. Kosztował blizko półtora milijona talarów. Wzniesiony jest między Berlinem a Charlotenburgiem, po za ogrodem zoologicznym. Oficerowie narzekają że to trochę za odległe od Berlina.

Skończywszy z cyframi, przejdźmy do zajmującej dziedziny piśmiennictwa. W ogóle trzeba powiedzieć że tak w Prusach jak w całych połączonych Niemczech ruch literacki zamiast zwiększać zmniejsza się prawie. Ważniejszych wydawnictw bardzo mało i niezapowiadają prac poważniejszych. Najwięcej wychodzi powieści tendencyjnych politycznych, ale te w ogóle nie zalecają się wysoką wartością prócz Niemców nikogo zająć nie mogą. Z pomiędzy tegorocznych nowości wyróżniamy dziełko p. Julijusza Rodenberg, sławnego romanso-pisarza: *Der Sommer in Wien* (Lato w Wiedniu). Autor choć Prusak, ma tę zaletę iż daje prawdziwy i bezstronny obraz społeczeństwa wiedeńskiego. Nie rządzi się wrodzonem Berlińczykom uprzedzeniem, nie przystępuje do opisu z powziętym z góry zamiarem aby wszystko ganić i dowcipkować kosztem opisywanych. Pan Rodenberg postępuje bez wstecznej myśli, chwali co pochwały godne, nie pytając o narodowość. A jakże to świeże, szczere i dziwnie zajmujące są wrażenia turysty z poczuciem artystycznem i wysoko ukształconego. P. Rodenberg przybył do Wiednia w r. 1873, podczas wystawy powszechnej, wysłany przez redakcyę jakiejś gazety, i bawił tam całą wiosnę i lato.

„Szedłem przed siebie, mówi w przedmowie, jak motyl leci w pośród blasku i ciepła słonecznego.“

Jakoż w książce jego przebija to światło i to ciepło. Pierwsza część wyłącznie prawie poświęcona jest opisowi Wystawy powszechnej; druga przedstawia malowniczo obraz Wiednia, tego grodu kąpiącego się w błękitnych falach Dunaju i które tak w swych pomnikach jak całej powierzchowności, umiało lepiej niż którekolwiek inne miasto niemieckie, połączyć wspomnienia przeszłości z teraźniejszym przepychem. Wiek średni, wiek odrodzenia i wiek obecny stoją obok siebie w jaknajlepszej zgodzie.

Nie poprzestając na tem co widział i słyszał, autor zbadał gruntownie dzieje Austryi i jej stolicy; to też książka jego zarazem bawi i uczy. Trzecia część dzieła obejmuje porównanie Wiednia z Berlinem, sztywnej stolicy pruskiej z wesołą i ożywioną stolicą Austryi. Ileż to już razy robiono to porównanie, na którem od niepamiętnych czasów ćwiczą się pióra feljetonistów, ale przyznać trzeba iż nikt jeszcze nie umiał napisać go z takim dowcipem i głębokością poglądów, jak autor *Lata w Wiedniu*. Nie poniżając Prus, umiał p. Rodenberg oddać zupełną sprawiedliwość i zasłużone pochwały piękności Wiednia i jego okolic, oraz ujmującym przymiotom Wiedeńczyków.

Jedno jeszcze dzieło o Austryi, wyszło z druku pod opieką Niemieckiego towarzystwa literackiego, *Prądy Opinji* przez H. M. Richtera. W dziele tem, uczony autor opowiada dzieje cywilizacyi austryjackiej, od czasu starożytnych Germanów aż do początku bieżącego stulecia. Pierwsza część dzieła kończy się ze śmiercią ostatniego zmarłego Habsburga, druga wykazuje coraz więcej wzmagający się wpływ ducha niemieckiego w dolinie Dunaju, i jak literatura niemiecka, z pomocą ruchu francuzkiego w ośmnastym wieku, oddziałała silnie na zmianę zaszłą w umyśle ludu austryackiego. Za Maryi Teresy i jej syna, poeta Lessing był znany i podejmowany zaszczytnie we wszystkich kołach społecznych wiedeńskich. Filozofija Kanta zapuściła głębokie korzenie na gruncie austryackim. Wielu z młodych uczni udawało się na naukę do uniwersytetów Północnych Niemiec i wracając do kraju przenosili do niego ideje filozoficzne i literackie, zaczerpnięte w Jena, Królewcu i t. p. Pewien bogaty fabrykant z Klagenfurth, Franciszek Paweł von Herbert, wróciwszy z podróży odbytej na północ w celu naukowym, otworzył w domu swoim salon artystyczny i literacki, gdzie schodzili się najsłynniejsi uczeni niemieccy, z którymi pozostawał w przyjaznych stosunkach. Siostra jego prowadziła korespondencyę literacką z Kantem.

Zajmujący ten obraz rozwoju intellektualnego Austryi przedstawia nam autor w oddzielnych studyach, z których każde obejmuje cały jeden okres: *Wiedeń za czasów Lessinga, Klopstock i Józef II-gi* i t. d. Wielka liczba nowych lub całkiem zapomnianych dokumentów, podnosi bardzo wartość dzieła. W prawdzie pomiędzy dobrem ziarnem nie brak tu chwastów, niepotrzebnych szczegółów i dat obciążających opowiadanie, ale bądź co bądź czytelnik więcej dbający o rzecz niż o formę, znajdzie tu obfite żniwo ciekawych faktów.

(d. n.)

SPRAWOZDANIE

z piątej rocznicy istnienia pracowni kobiet w Włocławku.

Pomijając dowodzenia, w których już dawniej szczegółowo wykazywałam korzyść z uczenia się szycia, kroju, kwiatów, rysunków, koronek, rzemiosł i przedmiotów umysłowych, powiem co obecnie najwięcej zasługuje na uwagę. Zacne obywatelki nasze, naśladując cnoty prababek, piękne dają przykłady pracowitości, umiejąc zręcznie pogodzić obowiązki dobrych gospodyń i matek z robótką w ręku. Panie Milęcka i Gąsiorowska dowiodły, co szczera chęć i energija dokazać potrafi, uzdolniwszy się w przeciągu dwóch tygodni do wyrabiania prześlicznych garnirunków koronek. Lecz to nie żadna nowość w naszej społeczności. Ręce naszych kobiet obszywały niegdyś całe rodziny, przędły, płótno tkały, na bogatych materyach wzorzysto wyszywały desenie, dla przyozdobienia Świątyń Pana, w których do dziś dnia te drogie szczęty widzieć można, lubo od dawna spruchniały ręce co je wykonywały. Dla tego to Polki mając takie wzory znowu z zapałem wzięły się do pracy. Dziś nie jedna nietylko dla dziatek ale dla własnego męża pracuje. W tym to celu, możniejsze a zacne obywatelki nasze przychodzą w pomoc ubogim uczennicom. Pani Mniewska, dziedziczka dóbr Lubranice, przeznaczyła dla niezamożnych uczennic rs. trzysta. Z tego funduszu kształcą się panny: Ewelina K........ i Bronisława G........ w krawieczyźnie i introligatorstwie. Przed kilką dniami opuściła zakład z chlubnym patentem, p. J. M., która w przeciągu trzech miesięcy ukończyła naukę szewctwa. Nie tylko własną ręką zrobiła kilka par bucików, ale nauczyła się kroju obuwia i szycia wierzchów na maszynie. Takie uzdolnienie zalicza się do rzadkich wyjątków, dla tego szczegółowo o niem wspomniałam. Praktyka okazała że nauka kroju sukien przy należytej znajomości szycia dokładnie nauczoną być może w przeciągu sześciu tygodni: dla tego kurs zmienia się co półtora miesiąca. W ogóle do rzemiosł bierze się klasa inteligentna; uboższa zaś zapewne z obawy niemożności zakupienia materyałów i narzędzi, w igle lub służebnej pracy szuka zarobku. Otóż dla niesienia i tym pomocy otwieramy kurs szklarstwa. Ogólny brak szklarzy widocznie czuć się daje, a nie trzeba tu ani wielkich zdolności ani siły, lub nakładów. Zrobić kit, wprawić szybę, najpodrzędniejsza zdolność może. W przyszłości mają widoki w przyjmowaniu większych obstalunków, otwieraniu składów ze szkłem, lub pokostowaniu ram do okien, czego także łatwo nauczyć się mogą. O ile ta myśl da się w czyn wprowadzić zobaczymy, rozpoczynając kurs od 1 Kwietnia.

Przełożona pracowni

A. Bufle.

Przegląd literacki.

Kobieta, jej udział w rzeczach miłosierdzia, lecznictwa i niezależnej pracy. Odczyt przez Doktora Tymoteusza Stępniewskiego.

(Dokończenie).

Nie mam nic przeciwko, tak długiem stosunkowo do objętości broszurki cytacyom, lecz pozwolę sobie powiedzieć, iż tym sposobem oprócz kilku w pierwszej części odczytu własnych myśli, reszta prelekcyi staje się streszczeniem rzeczy kilkakrotnie opisywanych, dostatecznie ocenionych, a zatem znanych powszechnie. Ale nie o to mi głównie chodzi. Rzecz dobra, pożyteczna, zbawienna, jaką jest niezawodnie popieranie kwestyi równouprawnienia kobiet, można w przeróżnej formie podawać i nawet dosłownie powtarzać: domieszki jednak niewłaściwe, jakie się w skutku krańcowych pojęć obrońców praw niewieścich, z ogólną ideą określenia stanowiska obydwóch płci połączyły, należało stanowczo z poglądu wspomnionego usunąć. Sam tytuł broszury wskazuje, iż pan S. kładąc lecznictwo pomiędzy warunkami wyswobodzenia się płci słabej z więzów dotychczasowej stagnacyi, jest zwolennikiem bezwarunkowej emancypacyi kobiet, jakkolwiek zdaje się tej dążności (str. 9 wiersz 12 i 13) zaprzeczać. Czemże bowiem jest nieograniczona emancypacya płci słabej jeżeli nie chęcią łączenia odpowiedniej działalności z niewłaściwemi dla kobiety zajęciami? Innej nie pojmuję. Kobieta równa mężczyźnie pod względem intelektualnym, wyższa nawet częstokroć od niego uczuciem, jest w możności podjąć korzystnie każdy z działów pracy społecznej wyjąwszy takich które są niezgodne z jej naturą. Siła fizyczna i system nerwowy stanowić będą zawsze tamę, przeciwko krańcowem zachciankom niepodobnej do urzeczywistnienia idei. Stawianie jako przykład kilkuset amerykanek niczego nie dowodzi: są to wyjątki w wyjątkowym ustroju różnoplemiennej ludności nowego świata. Tam gdzie wyradza się mnóstwo sekt religijnych, skaczących, drgających, wpadających w konwulsye, gdzie znicz domowego ogniska zagasł pod podmuchem mroźnego chłodu samolubstwa i nieczułości, gdzie dolar jaśniejszym bije blaskiem od cnoty — tam mówię można znaleść (i to w niewielkiej liczbie) matki rodzin lub młode niewinne dziewice z nożami chirurgicznemi w dłoniach. U nas tego nie ma i da Bóg nigdy nie będzie. Niefortunne próby w Zurichu pokazały aż nadto smutne skutki wypływające z nieposzanowania skromności i tkliwych uczuć u dziewic.

Powie mi może Sz. prelegent iż jakkolwiek wygłoszone przeze mnie zdanie jest całkiem różne od jego poglądu, nie idzie zatem ażebym miał słuszność za sobą. Toby być mogło gdyby mój sposób zapatrywania się na rzeczoną kwestyę nie miał za sobą powagi ogółu. Mogę jednak zapewnić Sz. prelegenta, iż zwolennicy krańcowej emancypacyi kobiet (a za taką uważam chęć pogwałcenia praw przyrody) w nader małej znajdują się u nas liczbie, ciągłem tylko i bezprzestannem podejmowaniem głosu tak na katedrach jak i w piśmiennictwie starają się osłonić lukę szczupłego swego zastępu.

Jeszcze słówko — tym razem li tylko o formie zewnętrznej odczytu.

Ażeby prelekcya mogła przynieść rzeczywisty pożytek dla słuchaczów, powinna oprócz pominięcia wszelkich abstrakcyjnych pojęć, mieścić w sobie warunki trzeźwości i być wypowiedzianą jasno, o ile można przystępnie dla ogółu słuchaczów. Na odczyty oprócz uczonych uczęszczają w znacznej liczbie i tacy, którzyby się czegoś nauczyć pragnęli, wszelkie więc górno-brzmiące peryody, zwroty upiększone (?) niezwykłemi wyrażeniami, okresy zawiłe o poplątanej w dziwaczny sposób frazeologji, jako mniej dla ogółu zrozumiałe, nieodpowiadają celowi. Pan Stępniewski lubi napuszoną wyszukanemi wyrazami stylizacyę i najprostszą rzecz wypowiada takim sposobem, iż trzeba chwilę pomyśleć, nim się zrozumie o co właściwie mówcy chodzi.

Oto naprzykład:

„Co do strażowania miejsc właściwych kobiecie przy zniczu domowym, nie mówi nam ani historya ani współczesne wyjątki, ażeby miejsca te wakowały wśród rodzin, członkinia lub członkinie których, po chleb idą na zewnątrz koła o dotychczasowych granicach. W kraju naszym nie liczne są fakta podobnych wybiegnięć, lecz w społeczeństwach o krok dalej wysuniętych w rozwoju od nas, widzimy że kobieta profesor, negocyantka, artystka i t. d., gdy jest żoną, to taką, że uczuciem dumy swego towarzysza napawa, gdy matką, to taką: że jej dzieci, przytulone do serca rodzicielki, rzewnem tętnem jego ogrzane, zawisną przy niem tem bezpieczniej, że głowa uzacniónej wiedzą kobiety, wie tymbardziej, jak czuwać nad naturalną cząstką jej samej“ i t. d.

Przytoczony tu urywek mógłby w ostateczności ujść w druku, w odczycie jednak gdzie peryody płyną jeden po drugim, jasność stylu jest konieczną, nieuchronną. Podobnych okresów przypominających wyszukane zwroty w komedyi „Les precienses ridicules“ Moliera, bylibyśmy w stanie mnóstwo przytoczyć; brak miejsca jedynie zmusza nas poprzestać na tym jednym wyjątku.

Ludwik Niemojowski.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i **Przyjaciel Dzieci,** w przyszłym 1877 roku, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi,* gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumeratą wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41** nowy**).**

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie balowe z różowego tarlatanu. Ładne i powiewne przybranie sukni stanowią falbaneczki bez nagłówków układane w kontrafałdki, z tyłu naszyte na szerokość 40 cent. z przodu i z boków sięgające aż do paska. Lekka draperya zarzucona na tylne bryty sukni, a z przodu przechodząca w ząb od boku na falbankach, układa się z prostego bryta i przepina różami. Stanik okrągło wycięty zdobny riuszą przepiętą na ramieniu kokardą z wstążki różowej i różą. Pasek stanowi gałązka z róż; we włosach róże.

Fig. 2. Ubranie balowe. Gładki, podwójną wypustką zakończony stanik z białego atłasu włożony do sukni białej tarlatanowej suto garnirowanej. Dół sukni zdobi szeroko składane plisowanie i riusza; przód i boczne bryty pokryte są tarlatanem złożonym w poprzeczne fałdy, schodzące się w ząb na środku a z boków wzdłuż szwów sukni przytwierdzonym rulonem i dwoma riuszami, które zasłaniają takie przyszycie bryta bufowanego z tyłu sukni. Gałązki niezapominajek dopełniają przybrania.

Przyjaciela Dzieci Nr 51 wyszedł z druku i zawiera:

Kościół w Szydłowie (z drzeworytem). — Różyczka. — Do mojej Mateczki (wiersz). — Pogadanka z Ojcem. — Pogadanki historyczne. — Z wiadomości bieżących. w Dodatku: Bogacz jakich mało (z drzeworytem). — Z pobytu w Krakowie. — Piotruś i Żoko. — Indyk (wiersz). — Lemingi (z drzeworytem). — Buzi łatwo mówić.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się rycina kolorowa, Prospekt Echa, oraz dla Prenumeratorów na prowincyi Prospekt Kłosów.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 30 Ноября (12 Декабря) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.